

# Nie wierzę w Ellmit

Wojciech Majcherek

**N**ie wiem, jak udowodnić, że nie piszę tej recenzji z czystej przekory. Nie przywoływać znowu Gałkiewicza z jego nieśmiertelnym: jak zachwyca, jeśli nie zachwyca? Tamten przynajmniej buntował się przeciw Słowackiemu i profesorowi Pimce, ja głosząc, że „nie przewierca” mnie twórczość Ingmara Villqista, mogę najwyżej narazić się na złośliwości Romana Pawłowskiego. Trudno, nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz.

Ale może moje wątpliwości nie zabrzmiały subiektywnie, jeśli najpierw Villqistowi w kilku punktach oddam sprawiedliwość.

Przede wszystkim wypada wyrazić zadowolenie, że Villqist w ogóle jest. Już się bowiem wydawało, że zawód dramaturga, tak jak np. zduna, należy w Polsce do profesji ginących. A tu proszę: pojawił się autor, który napisał parę tekstów dramatycznych i, zdaje się, że ma nadal wenę. Co więcej: te utwory trafiają na scenę i jak dobrze pójdzie, to do końca sezonu Villqist będzie popularniejszy od Fredry, Zapolskiej i Mrożka, a to zakrawa na cud. Skąd się bierze powodzenie Villqista? Sądzę, że teatr w Polsce czekał na kogoś takiego. Luminarze naszej sceny od jakiegoś czasu przecież głośno wzdychali do teatru i dramaturgii, która w centrum zainteresowania stawia człowieka z jego najgłębszymi, osobistymi problemami. Całe pokłady rodzimej literatury dramatycznej uznano po 1989 roku za anachroniczne, bo wyłaziły z niej zbiorowe demony: martyrologia narodowa, polityka, historia, z którymi zupełnie nie wiadomo, co robić,

o czym świadczą inscenizacje klasyki.

W twórczości Villqista nie czuje się żadnych polskich obciążeń. Nawet *Noc Helvera*, której tło może przywoływać konkretne doświadczenie historyczne, napisana jest tak, żeby autora nie podejrzewać o pochodzenie. Większość swoich tekstów Villqist umieszcza w pejzażu skandynawskim (to nie tylko krajobraz Ellmit, nadmorskiej miejscowości, w której rozgrywa się *Fantom* i wspomianej w innych utworach z cyklu *Beztlenowce*, ale też ikejskie meble we wszystkich niemal mieszkaniach, dość dokładnie opisywanych w didaskaliach kolejnych sztuk). Imiona bohaterów brzmią tak samo obco, jak pseudonim autora. Ta egzotyczna otoczka dramaturgii Villqista stała się nieoczekiwanie dobrym chwytem marketingowym. Nie zdziwiłbym się, gdyby otworzyła pisarzowi drogę na zagraniczne sceny. Wierzę, że fascynacja północnymi klimatami jest w przypadku Villqista autentyczna i nie ma nic wspólnego z modami, które nachodzą różnych artystów, a to na Orient, a to na Bałkany. Villqist jednak dokonuje umiejętnej autokreacji, rozsnuwając wokół siebie aurę tajemniczości.

Ale w czym tkwi sedno sukcesu dramatopisarskiego Villqista? Ano właśnie w tym, że ofiarował polskiemu teatrowi bohaterów z indywidualnymi problemami. Przy tym nie poddał ich groteskowo-absurdalnej deformacji, nie zaprzął do żadnych intelektualnych konstrukcji. W twórczości Villqista nic nie wskazuje, że artysta ten pochodzi z kraju, który wydał Witkacego, Gombrowicza, Różewicza, Mrożka.

Metodę dramaturgiczną Villqista dobrze widać w cyklu *Beztlenowce*, na który składają się niewielkie, kameral-

ne utwory. Kilka z nich wydrukował *Dialog*. Tytułowy tekst uzupełniony o *Kostkę smalcu z bakaliarni* miał prapremierę w Teatrze TV. Doszło też do premiery *Beztlenowców* w wersji autorskiej w Teatrze Rozmaitości w Warszawie. Łukasz Kos w Teatrze Nowym w Łodzi wystawił spektakl złożony z pięciu sztuk tego cyklu (*Beztlenowce*, *Fantom*, *Lemury*, *Cynkweiss*, *Bez tytułu*). Wreszcie premierę *Fantoma* w Starym Teatrze w Krakowie przygotowuje Agnieszka Lipiec-Wróblewska.

Bohaterowie Villqista są, jak już krytycy odkryli, powinowatymi postaciami ze sztuk Ibsena czy Strindberga. Noszą w sobie tajemnice z przeszłości, jak molestowana przez ojca w dzieciństwie Karla (*Cynkweiss*), czy poczucie winy za coś, co kiedyś zrobili bądź nie zrobili (jeden z homoseksualistów w *Beztlenowcach*). Przy tym te rodzaje doświadczeń są doskonale uniwersalne, mogą dotyczyć Norwega, Szweda, Holendra lub kogo tam jeszcze. Znamienna jest wypowiedź Villqista, w której ujawniał, że inspirację do napisania *Beztlenowców* dała mu obserwacja dwójki mężczyzny z dzieckiem w poczekalni na lotnisku. Otóż większość bohaterów Villqista sprawia wrażenie, jakby zostali wyciągnięci z anonimowego tłumu w obojętnym miejscu. Owszem, mają oni swoje własne historie, zwykle skomplikowane, ale pozbawione korzeni z miejsca urodzenia, języka, środowiska, tradycji, religii i mnóstwa innych okoliczności, ważnych i mniej ważnych, które określają, kim jesteśmy. Oglądając bohaterów z cyklu *Beztlenowce*, można stwierdzić, że łatwo ujawniają swoje intymne sekrety, ale nie dają się bliżej poznać. A chcia-



to by się o nich wiedzieć coś więcej. Jerg, bohater mikroszenki *Bez tytułu*, zwierza się matce przed śmiercią, że uciekł z rodzinnej wioski, bo się bał. Matka się pyta: „Czego ty się bałeś, Jergu?” „Siebie...” – pada odpowiedź. I to jest dość charakterystyczne w sztukach Villqista, że ich bohaterowie są tacy ogólnie neurasteniczni. Tym samym trudno losom tych ludzi się szczerze przejać. Pozostają, jak to słusznie zauważył Piotr Gruszczyński w artykule opublikowanym w *Dialogu*, laboratoryjnymi preparatami.

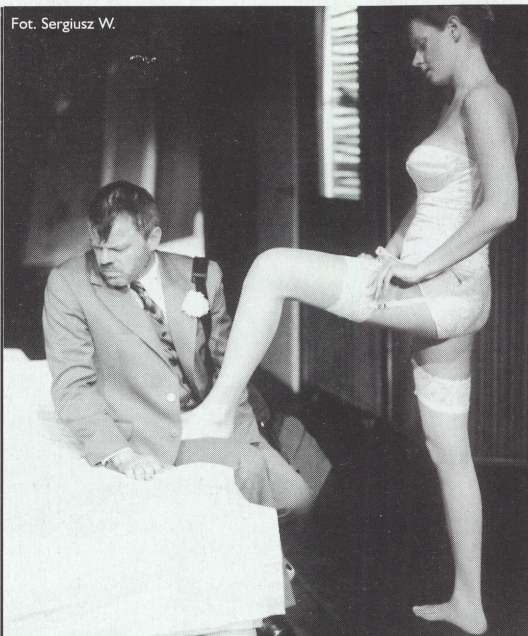
Villqist opiera się osadzeniu swych tekstów w bardziej konkretnych realiach: „Kiedy słyszę, że nie istnieje współczesny polski dramat, bo nie podejmuje aktualnych problemów rzeczywistości społecznej i politycznej... Nie chcę używać brzydkich wyrazów, bo wtedy musiałbym powiedzieć bardzo precyzyjnie, ile mnie obchodzą współczesne problemy społeczno-polityczne i ich pochodne – nic, nic, nic i nic”. Ciekaw jestem, swoją drogą, jakby skomentował tę wypowiedź Roman Pawłowski, który Villqista wylansował. Krytyk przecież rozlicza nieustannie polski teatr z zaangażowania w tzw. otaczającą rzeczywistość. Czyżby dla autora *Beztlenowców* zastosował taryfę ulgową? Chyba że Pawłowski dokona takiej interpretacji sztuk Villqista, z której wyniknie, że poczucie winy trapiące jego bohaterów można przełożyć na nasz narodowy problem z Jedwabnem. Ale myślę, że tego nie zrobi, ponieważ właśnie w takim kontekście widać wyraźnie, że twórczość Villqista jest co najwyżej „dobrze skrojona” psychodramą na ściśle prywatny użytek. I choć historie opowiedziane w cyklu *Beztlenowce* wydają się powikłane, tajemnicze, dramatyczne, to śledząc je na scenie nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że zbudowane są na pozorach. Pozorach prawdy, głębi, istotności.

Łatwo odnaleźli się w tych historiach aktorzy Teatru Nowego w Ło-

dzi. Bo Villqist daje aktorom to, co lubią, a co rzadko otrzymują od naszych dramatopisarzy – materiał na rolę. Materiał, by tak rzec, dobrze leży, bo dramaturg ma zręczność budowania dialogów, a ich język nie zgrzyta w uszach. Villqist stosuje metodę, która zwykle przynosi sukces: ukrywać najważniejsze problemy postaci w wypowiedziach błahych i pozornie odległych, w niedopowiedzeniach, znaczących pauzach itd. Ma przy tym, trzeba to oddać, łatwość szkicowania sytuacji, wystarczy parę kresek, by wyłonił się bohater i jego sprawa. Szkic dopełniają aktorzy. W Teatrze Nowym w Łodzi udaje się to przede wszystkim Wojciechowi Błachowi w rolach w *Beztlenowcach* i *Bez tytułu*, Małgorzacie Skoczylas i Januszowi Łagodzińskiemu w *Fantomie*, Joannie Król w *Lemurach* i w *Cynkweiss*.

Łukasz Kos, wybierając do swojego przedstawienia te, a nie inne utwory z cyklu *Beztlenowce*, stworzył dla nich wspólny motyw złożonych układów rodzinnych. Spektakl otwiera dialog młodej pary z *Lemurów*. Odbiega on w formie od pozostałych tekstów, jest bardziej groteskowy, przypomina także grywaną sztukę Villqista Oskar i Ruth. Przyznam zresztą, że gdy autor porzuca swoje ponure nastroje na rzecz pokrętnego, ale jednak humoru, to jego teksty nieco zyskują. Karla i Jerg z *Lemurów* zapowiadają, że życie w związku dwojga ludzi od początku rodzi konflikty. Kolejni bohaterowie tego rodzinnego obrazu w *Beztlenowcach* dopowiadają swoimi historiami, jak trudno im jest się odnaleźć w życiu. W *Beztlenowcach* dwaj homoseksu-

aliści tworzą rodzinę nowego typu z adoptowanym dzieckiem, ale jeden z nich nie może zapomnieć o poprzednim związku, z którego ma córkę. W *Fantomie* para małżeńska żyje z wyimaginowanym dzieckiem, co wytwarza w nich przedziwny stan psychiczny, w który musi brutalnie ingerować zaprzyjaźniony psychiatra. (Nie wiem, czy był to najzręczniejszy pomysł reżysera, by rozdzielić w spektaklu sceny z *Fantoma* i włożyć między nie inne jednoaktówki *Beztlenowców*. Sztuka podzielona na odcinki straciła klimat, a ponadto w sensie czysto fabularnym stała się trudniejsza w odbiorze.) W *Cynkweiss* Karla w dniu swojego ślubu dokonuje psychicznej zemsty na ojcu, który ją w dzieciństwie molestował. Wreszcie w kończącej spektakl wzuszająco sentymentalnej mikroszence *Bez tytułu* śmiertelnie chory na AIDS chłopak żegna się z rodzicami. Można zapewne te historie w różny sposób analizować i zapewne Villqist będzie miał niejednego nadwornego krytyka, który jego twórczością się pożywi. Kos podchodzi do tekstów Villqista bardziej od strony



*Beztlenowce* (Cynkweiss) Villqista w T. Nowym w Łodzi (2001). Mariusz Saniternik (Mężczyzna), Joanna Król (Karla). Reż. Łukasz Kos, scen. Monika Sudół



prawdy życiowej, sytuuje je w konkretnie zachowań, reakcji bohaterów. Widać to dobrze, gdy się porówna realizację tytułowej jednoaktówki z Teatru Nowego z wersją autorską przygotowaną w Teatrze Rozmaitości.

Kos dwójce bohaterów, sytuacji, w jakiej się znajdują, przydaje wiele cech realistycznych (nawet woda na herbatę dla Karli gotuje się naprawdę). Reżyser czyni subtelne, ale widoczne zróżnicowanie w rolach, jakie obaj geje spełniają w tym związku. Wojciech Błach z wdziękiem, ale bez natręctwa gestu czy min pokazuje, że jego bohater sprawuje funkcję kobiety czy nawet matki. Widać to zarówno w jego stosunku do dziecka czy do partnera, jak i w drobnej czynności, gdy smaruje sobie dłonie kremem. Ale w takim ujęciu *Beztlenowce* stają się rodzajowym obrazkiem z życia i niedaleko już im do historyjki dobrej dla telewizyjnego serialu. Brakuje mocniejszego zaakcentowania złożonych relacji psychologicznych obu bohaterów. W końcu z ich gadaniny wynika zazdrość, niepewność własnej tożsamości, wyrzuty sumienia, szukanie szczęścia.

Ingmar Villqist reżyserując w *Rozmaitościach Beztlenowce* skrótowo

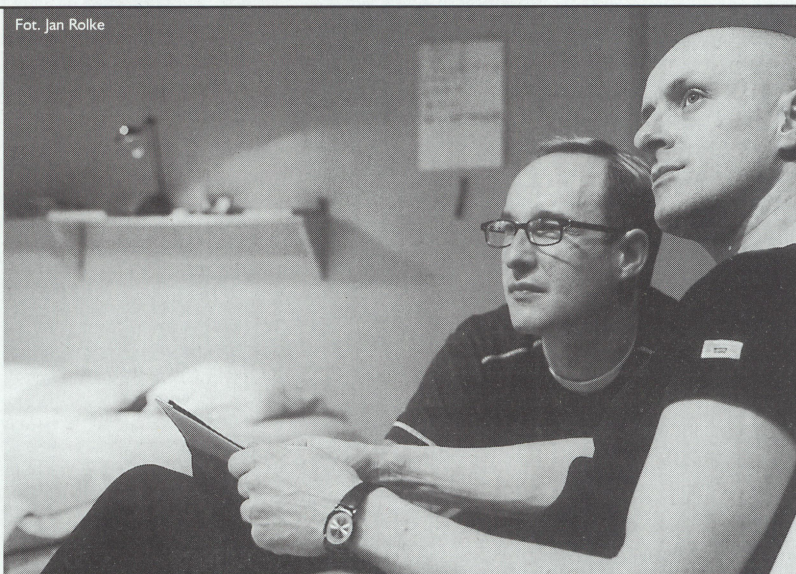
zaznaczył realia sytuacji (na scenie nie walają się żadne zabawki dziecka, tak jak w Łodzi, a i samo dziecko wydaje się, że jest gdzieś dalej niż w pokoju obok), kładąc bardziej nacisk na aurę psychologiczną spotkania obu bohaterów. Dało to jednak miejscami wątpliwe efekty sceniczne. Oto narastającej agresji bohatera, granego przez Jacka Poniedziałka, towarzyszą coraz mocniejsze dźwięki padającego deszczu. Uspokojenie następuje, gdy Poniedziałek gwałtownie otwiera okno, za którym panuje cisza. Villqist jako reżyser ma czasami skłonność do pokazywania, co w duszy bohaterom gra. Widać to również w innej scenie, gdy ujawnia, że mężczyźni w końcu łączy więź erotyczna. Wyprowadza swoich aktorów w kąt sceny, oświetla na fioletowo, robi nastrój jak z gay-pubu, o którym w sztuce się mówi. Bohaterowie palą papierosy dmuchając sobie nawzajem dymem w twarz.

Nie wiem wszakże, czy aktorzy nie wymknęli się reżyserowi. Można było bowiem odnieść wrażenie, że każdy interpretuje rolę w swojej ulubionej manierze. Poniedziałek przyjął styl gry, ostentacyjnie oszczędny, jakby wystarczyła sama obecność aktora na

scenie z takim wyrazem twarzy, który ma znaczyć wszystko: jestem zły, jest mi smutno, nienawidzę cię, Kocham cię etc. Marek Kalita potraktował swoją rolę niczym muzyczną partyturę – słowa, zdania tekstu jakby zamieniał na dźwięki czy frazy muzyczne, podawane w zmiennych rytmach. Przyznam, że im bardziej spektakl się ciągnął, tym bardziej stawała się irytująca tak prowadzona rozgrywka między bohaterami. Aż chciało się krzyknąć z widowni: dajcież wreszcie sobie i nam spokój!

Napisałem w tytule tej recenzji, że nie wierzę w Ellmit – tę wymyśloną przez Villqistą miejscowość. Przyznaję: nie czuję ani klimatu tego miejsca, ani nie trafia do mnie jego symbolika. Jest to być może kwestia odmiennego usposobienia, światopoglądu, a wreszcie gustu. Ujmując rzecz w uproszczeniu: nad skandynawskie pejzaże przedkładał słońce Toskanii. Od filmów Ingmara Bergmana wolę filmy Federico Felliniego. Choć tak naprawdę wiem, że moje życie toczy się przy alei Komisji Edukacji Narodowej w Warszawie. Powietrze tutaj nie jest takie najgorsze.

Fot. Jan Rolke



*Beztlenowce* Villqista w T. Rozmaitości w Warszawie (2001). Marek Kalita, Jacek Poniedziałek. Reż. Ingmar Villqist

Teatr Nowy w Łodzi:  
**BEZTLENOWCE** Ingmara Villqista.

Reżyseria: Łukasz Kos,  
scenografia:  
Monika Sudół,  
muzyka i ruch sceniczny:  
Olena Leonenko.  
Prapremiera 10 III 2001.

Teatr Rozmaitości  
w Warszawie:

**BEZTLENOWCE**  
Ingmara Villqista.

Reżyseria:  
Ingmar Villqist.  
Premiera 12 III 2001.